

Tempo

Jak kochać Legię?

Po chorzowskim Ruchu do kolekcji klubów „Encyklopedii Piłkarskiej FUJI” trafił ktoś następny, a równie dla polskiego futbolu zasłużony. Warszawska Legia, która w tym roku obchodzić będzie piękny jubileusz osiemdziesięciolecia.

Osiemdziesiąt lat to w sportowej historii szmat czasu, w obowiązku zielony pejsaż stołecznego klubu zdążyło się wpisać ileś tam pokoleń, po nich przyszli i przyjdą inni, nosząc na piersi dumną literkę „L”. A zatem jeszcze za życia cieszący się przez kilka dekad ogromnym autorytetem doktor Stanisław Mielech, po nim zmarły w angielskim Luton snajper jakich mało Józef Nawrot, skoro zaś Nawrot to i Marian Łafko, a także Józef Ciszewski, bo przecież przed wojną tworzyli na boisku legendarny tercet, którego siły rażenia musiał się bać każdy. Inna, ale niewątpliwie jeszcze silniejsza, Legia to ta z połowy lat 50., gdy jej wartość wydatnie podnosili liczni przybysze zwłaszcza ze Śląska: Edward Szymkowiak, Marcei „Pieron” Strzykałski, Edmund „Epi” Kowal i sam Ernest Pohl, nie wspominając już o chłopaku z Nowego Bytomia, który po grze w ŁTS-ie Łabędy zmienił miejsce pobytu na Warszawę i – z krótkimi przerwami – do dziś jest w niej (a jeszcze bardziej w Legii) zakochany na zabój.

Jeśli do lektury jubileuszowej książki Ruchu zapraszał Gerard Cieślak, co było ze strony wydawców dyktatem wręcz narzuconym przez historię – tak w przypadku Legii jakikolwiek wybór również nie istniał. Bo to fotka nikogo innego, tylko Lucjana Brychczego musiała widnieć na zielonej okładce, zaś sam „Kici” jako postać o znaczeniu zdecydowanie więcej, niż symboliczny musiał wygłaszać okolicznościową preambułę. Czy mógł istnieć poważny konkurent dla tytana futbolowej techniki, który dla Pohla, Jerzego Woźniaka czy Edmunda Zientary był kumplem z boiska i poza nim? U którego boku milowymi krokami czynili postępy Kazimierz „Kaka” Deyna, Lesław Ćmikiewicz i Robert „Pilat” Gadocha? Ktoś, kto jeszcze 6 grudnia ubiegłego roku doradzał Pawłowi Janasowi jak ma Legia zagrać przeciwko Spartakowi Moskwa, a już za kilka tygodni będzie modlił się w duchu, aby Panathinaikos okazał się przeszkodą przez chłopców Janasa pokonaną?

Z oczywistych względów nie przepadam za czymś takim jak kult jednostki, ale w interesującym nas przypadku pisanie sagi Legii musi być w dużym stopniu pisanie sagi Lucjana Brychczego, skoro z osiemdziesięciu lat działalności klubu „Kici” grał, trenował i trenuje przez dłuższą niż połowę legijnego życia. Równocześnie jednak dzięki ANDRZEJOWI GOWARZEWSKIEMU i STEFANOWI SZCZEPŁKOWI jako głównym autorom wydawnictwa możemy wspólnie nacieszyć się tym wszystkim dobrym, co w Legii wydarzyło się także w sytuacjach innych. Gdy Brychczy albo już odrobinię stał w boiskowym cieniu (precyzyjnie wliczone 37 lat 161 dni, do kładnie w tym wieku „Kici” definitywnie zdjął z siebie koszulkę Legii) względnie wówczas, kiedy...jeszcze go nie było na świecie, za to Legia od dawna zdążyła wejść w swą dorosłość, a zatem samodzielność.



To dobrze, wręcz znakomicie, jak wszechstronnie w warstwie opisowej i faktograficznej Gowarzewski i Szczepłak przypominają starszej widowni, albo edukują młodzież w rozległym jak rzeka temacie „Legia”. Legia bramkarzy Pawła Mironowicza Akimowa i Macieja Szczęsnego. Legia braci Przeździeckich i Leszka Pizsa. Legia Bolesławów Cicheckich (ojciec i syn stanowiący unikalną parę ligowców) i Jerzego Podbrożnego. Legia niekoniernie kochana przez wszystkich, niekiedy zasługująca na publiczną chłostę, ale w wielu innych sytuacjach – na szacunek.

Te krytyczne akcenty położone na mało chlubnych kartach z historii Legii znaleźć można na niektórych stronicach jubileuszowej książki, co zwolenników zbiektywizowania narracji powinno satysfakcjonować, a mnie nie zaskakuje ani trochę. Bo wiem, że Gowarzewski kocha Ruch, da się za niego pokrajać, ale kiedy trzeba – postawi pod pręgierzem. W przypadku Legii to samo odnosi się do Szczepłka, który w przeciwieństwie do równie jak on zakochanych w Legii wielu stołecznych żurnalistów potrafi rozgraniczyć w niej dobro od zła. Stąd m.in. na taśmie wspomnień musiał się przewinać bardzo znamienny, acz zapamiętany tylko przez niewielu pucharowy thriller w Lublinie, kręcony w początkach lat 70. przez graczy Lublinianki i Legii, a w pierwszej kolejności arbitra Wacława Kruczkowskiego. Otóż zapadające ciemności „zmusiły” dzielnego arbitra do przerwania meczu akurat wtedy, gdy przy dodatkowej serii rzutów karnych istniał remis 3-3, wyegzekwowano dziewięć „jedenastek”, zaś do tej ostatniej szykowali się akurat przeciwnicy Legii. Kiedy zaś tego karnego nie dało się już wyegzekwować i trzeba było pomyśleć o powtórzeniu meczu – znacznie bliższe Legii niż Lubliniance władze PZPN wpadły na pomysł (od którego zresztą, ale tylko po części, odstąpiono), aby powtórkę zawodów przeprowadzić w... Warszawie.

Jest jeszcze wiele innych materialnych dowodów, że autorem udało się pogodzić obiektywizm z fachowością, w co nawiasem mówiąc (abstrahując już od jubileuszowej książki Legii) mocno powątpiewają niektórzy z mych kolegów po piórze. O przykładowe zachowania obiektywizmu była już mowa powyżej, o fachowości z kolei przesądza mnóstwo szczegółów i szczegółików świadczących o kójarzeniu ludzi, zdarzeń i faktów daleko wykraczających poza historię Legii. Bo kto – bez pomocy jubileuszowej książki Legii pamiętał na przykład, że jesienią 1969 roku facetem zmieniającym Spasoje Samardzića w słynnym meczu legionistów z AS St Etienne był nie kto inny jak Aime Jacquet, czyli aktualny trener reprezentacji Francji?

Wyrażeniu uznania Andrzejowi Gowarzewskiemu i Stefanowi Szczepłkowi musi towarzyszyć nadzieja. Iż z powodu wykpienia zwłaszcza przez Szczepłka konkretnych sytuacji, w których Legię powinien spowiadać rumieniec wstydu – nikt o zdrowych zmysłach nie oskarży Stefana o dywersję popelnioną akurat na obiekcie tyle prężnie go kochanym, co wojskowym.